

Dorota Siwicka, Marta Zielińska

Jak fotografowałyśmy "Kirkut" Mirona Białoszewskiego

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 3 (21), 143-148

1993

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Dorota Siwicka, Marta Zielińska

Jak fotografowałyśmy „Kirkut” Mirona Białoszewskiego

W roku 1991 rozpoczęłyśmy fotografowanie *Warszawy Białoszewskiego*. Robimy zdjęcia tych fragmentów miasta, które znalazły się w jego utworach. Próbujemy w ten sposób zebrać rodzaj dokumentacji do dzieł poety, utrwalić na fotografiach miejsca zmieniające się z każdym dniem coraz szybciej. Opisanych szczegółów jest bardzo wiele, a my staramy się fotografować je zgodnie z przedstawioną w tekście porą roku, a nawet dnia. Toteż nasza praca potrwa jeszcze długo. Chodzenie po śladach Białoszewskiego, odtwarzanie w wyobraźni chwil, które zanotował, przekładanie słowa poetyckiego na obraz — to zajęcie pełne niespodzianek. Wyprawa na Kirkut była pierwszym spotkaniem tekstu, miasta i naszych obiektów.

Marta Zielińska: To był jedyny wypadek, kiedy przeszłyśmy całość konkretnego utworu i całość sfotografowałyśmy.

Dorota Siwicka: Trafiliśmy tam w sobotę, dokładnie tak samo jak oni, Białoszewski i Lu.

M. Z.: A Zimand nas ostrzegął, że w sobotę może być zamknięte.

D. S.: Wprost przeciwnie, powiedział, że będzie otwarte, bo przyjeżdżają turyści.

M. Z.: Ale wiesz, o tej godzinie po południu, kiedy i oni chodzili, i my, cmentarz żydowski nigdy nie bywa otwarty. Więc sobota nie miała praktycznie znaczenia.

D. S.: Miała za to znaczenie symboliczne...

M. Z.: Metafizyczne nawet...

D. S.: Bo nam właśnie w sobotę przydarzyły się rzeczy podobne jak im.

M. Z.: Chyba jednak gorsze. Oni właściwie bardzo spokojnie tam spacerowali. Bez komplikacji, choć jakby zdali się na żywioł. My tymczasem przygotowaliśmy się skrupulatnie. Ja zabrałam plan Warszawy. Wynotowałyśmy z *Szumów, zlepow, ciągów* wszystkie miejsca do sfotografowania: te leżące tuleje, pomniki figuralne, wodotrysk, Mirabelkę...

D. S.: Czy Henrykę London...

M. Z.: No tak, a potem cały porządek się rozsypał. Zaczęło się od tego, że brama była zamknięta i musiałyśmy, tak jak oni, znaleźć dziurę w murze od Młynarskiej. A wcale nie wiedziałyśmy, czy ta dziura jeszcze będzie.

D. S.: No i była.

M. Z.: Jak już weszłyśmy w dziurę, to natychmiast zapomnieliśmy o tekście Białoszewskiego.

D. S.: Ja w pierwszej chwili zapomniałam, że w ogóle mamy robić jakieś zdjęcia. Ta dżungla, która nas nagle otoczyła była niesamowita. Patrzyłam zamiast fotografować i całkiem straciłam profesjonalny dystans. W końcu rzuciłam się do kolorowych ślimaków pełzających po macewach.

M. Z.: Których u Białoszewskiego nie ma. A przecież tak samo w sierpniu przyszliśmy, jak on. Ale może wtedy było trochę ciemniej. Poza tym podejrzewam, że Lu., bo to on prowadził, od razu ruszył właściwą ścieżką w stronę szerszej alei. A my, trochę przez te ślimaki, od razu po pas w chaszczce.

D. S.: Jednak odnalazłyśmy i sfotografowałyśmy różne miejsca z tekstu. Bo opis Białoszewskiego jest dokładny. Można by go traktować jak mapę czy przewodnik.

M. Z.: Jest niesamowicie precyzyjny. Ale łatwiej było fotografować nie

fragmenty ściśle określone przez tekst, lecz to, co się powtarza — stojące albo przewrócone nagrobki, figury, kórnych jest kilka, gęstwinę drzew i krzaków. A pewnych rzeczy nie znalazłyśmy w ogóle, jak tych przeznaczonych do wywiezienia,znaczonych na czerwono płyt. Pewnie zostały już usunięte. W końcu przyszłyśmy kilkanaście lat później.

D. S.: Nie było też „koron Dawida”. Szukałyśmy ich i nie mogłyśmy się domyśleć, o czym on właściwie pisał.

M. Z.: Może dlatego, że kiedy Białoszewski był na cmentarzu, popołudniowe słońce załamywało się jakoś szczególnie i mógł je zobaczyć w samej rzeźbie nagrobka. A my miałyśmy chmury, więc nie zobaczyłyśmy tego, co trzeba. Zresztą, kiedy dotarliśmy jego śladem do części bardziej cywilizowanej, już przy Okopowej, znów zapomnialiśmy o tekście. Bo bałyśmy się, że w budynku przy bramie może siedzieć stróż, który nas przepędzi. Białoszewski nie pisze o takich obawach.

D. S.: Przeciwnie, pisze kilkakrotnie, że się bali i w tym miejscu trochę jakby też:

- stąd
- wróćmy
- chyba
- może otworzy, ale nie, nie wyjdzie
- e...
- będzie chciał za otwarcie
- to się da mu
- to się da.

M. Z.: Zakłócałyśmy spokój zmarłym w sobotę, a oni, to znaczy Białoszewski i Lu., chyba rzeczywiście też czuli się trochę nie w porządku.

D. S.: Było coś szczególnego w atmosferze tego miejsca, coś, co objawiło się i nam. Jakaś jego siła, która zawsze odżywa.

M. Z.: I to bez związku z tekstem. Ale my bałyśmy się bardziej stróża niż tego, że nie trafimy z powrotem... Pod tym względem byłyśmy bardzo pewne siebie. W pobliżu głównej alei znalazłyśmy jeszcze grób Zamenhoffa, niestety stał pod słońce i nie dał się dobrze sfotografować. Wreszcie postanowiłyśmy wracać, tą samą aleją, którą przyszłyśmy. I tam usiadłyśmy odpocząć na kamieniu, bo musiałam przewinąć błonę w aparacie. Usiadłam na planie Warszawy, a potem wstałam, i plan został na kamieniu.

D. S.: Taa... zostawiłaś plan.

M. Z.: Od tego zaczęły się dalsze kłopoty. Choć nam się jeszcze zdawało, że wystarczy pójść w stronę dziury, a potem zwyczajnie wyjść. Ruszyliśmy różno...

D. S.: Posłuchaj:

— o, dziura jest aż tam — mówi Ludwik, idzie po nagrobkach, tych leżących, ja też, podskakują, pukają, trzeba się śpieszyć — a jakby było ciemno, tobym cały czas jej szukał tylko dotąd i z powrotem w prawo... macałbym tak i macał... i by zeszło pół nocy
— musimy się śpieszyć, żeby nam dziury nie замуrowali
— jak te mazepy

On właściwie przewidział nasz los. Miał świadomość, że coś takiego ma prawo się tam przydarzyć.

M. Z.: Bardzo pewnie doszliśmy do muru, przekonane, że dziura zaraz będzie. Tymczasem jej nie było. Zaczęliśmy więc po słońcu i po tym, co za murem ustalać, czy idziemy w dobrym kierunku. A za murem ciągle był jakiś cmentarz.

D. S.: Tylko przez mur nie dało się zobaczyć, który: ewangelicki czy katolicki...

M. Z.: W samym środku miasta. Dookoła słyszaliśmy odgłosy życia, tramwaje z Młynarskiej i z Okopowej, samochody — a my tu, w pierwotnej puszczy, w grobowej ciszy, bez możliwości wyjścia. Ja to odczuwałam jako zemstę umarłych. Za tę sobotę.

D. S.: Na cmentarzach żydowskich duchów zasadniczo nie ma. Byliśmy jednak zamknięte nie tylko w środku miasta, ale i w centrum nekropolii, zajmującej w sumie wielki obszar. Tam styka się kilka cmentarzy: żydowski, katolicki, dwa ewangelickie, muzułmański i jeszcze jeden, też muzułmański, oddzielony tylko Tatarską. W dodatku w tych krzakach odkryliśmy otwarty wąż do kanału i zaraz zaczęliśmy rozmawiać o powstańcach warszawskich.

M. Z.: W pewnym momencie za murem skończyły się cmentarze i zobaczyliśmy jakąś wystającą fabryczkę. Wspięłam się wtedy po czymś na górę, żeby zbadać możliwość wyjścia tamtędy, ale okazało się za wysoko. Białoszewski i Lu. w ogóle tam nie byli. Nas ten cmentarz wywiódł w zupełnie innym kierunku. A też i odkąd się zgubiłyśmy, Białoszewski jakby w ogóle przestał dla nas istnieć. Z tej wyprawy zrobiło się coś

innego, niż miało być. On nie brnął w gąszczu pokrzyw na przykład, a my całe byliśmy poparzone.

D. S.: Bo w odróżnieniu od niego miałymy na sobie spódnice, żeby niby nobliwie wyglądać na cmentarzu.

M. Z.: I sandałki.

D. S.: Właśnie. I tak obeszlśmy cały teren dookoła, wzdłuż muru — i nic.

M. Z.: Zrozumialiśmy to, kiedy znalazłyśmy się na wielkiej łące od strony Okopowej, po szyje w zielskach przedzierając się z powrotem do eleganckiej alei. Tam też zaczęłyśmy marzyć, żeby pojawił się stróż. Ale stróża nie było, stała jedynie drabina. Ja już kombinowałam, jak wejść po niej na mur, tylko potem co? Więc przestudiowałyśmy porządnie wiszący tam plan cmentarnych kwater i ruszyłyśmy jeszcze raz. Tą samą — jak się okazało — drogą, o czym świadczył mój plan Warszawy, widoczny z daleka na kamieniu. Ale dziury wcale nie znalazłyśmy. Zauważyłyśmy za to trochę niższy kawałek muru. Ja stwierdziłam, że mam dość i idę przez mur. Zaraz też się okazało, że to są tyły domu z fabryczką, o którym Białoszewski też pisał. A nasza dziura była tuż, nie więcej niż dziesięć metrów dalej.

D. S.: Ale widać ją tylko z zewnątrz, od strony ulicy. Od środka jest zbyt zarośnięta, żeby ją można było znaleźć. Więc działa teraz jakby tylko w jedną stronę, pozwala tylko wejść.

M. Z.: Cmentarz nas zamknął i wciągnął.

D. S.: Sam w sobie, już bez udziału tekstu Białoszewskiego. Myślę, że byłyśmy trochę rozdarte. Bo z jednej strony chciałyśmy zbierać dokumentację, fotografować dokładnie to, co zobaczył i opisał Białoszewski. Ale nie mogłyśmy też powstrzymać się przed robieniem zdjęć tam, gdzie naszym zdaniem znajdowało się coś frapującego. Obiektyw również jest przyciągany przez inne obrazy. I kiedy teraz patrzę na nasze zdjęcia, wydaje mi się, że lepsze są te, które zrobiłyśmy kierując się własnym wzrokiem i żądaniami aparatu. Pozostałe mogą mieć do pewnego stopnia wartość dokumentu. I to też jest ważne. Ale same są jakby mniej ciekawe, zbyt statyczne i w gruncie rzeczy — dalekie od tych ruchliwych znaczeń, jakie nadawał miejscom tekst. Choćbyśmy nie wiem jak długo doбираły światło i kąt widzenia, nieprzekładalność pozostanie. To

oczywiste, ale przy okazji tak „gadanej” poezji Białoszewskiego staje się jeszcze bardziej wyraźne.

M. Z.: Ani Białoszewskiego wtedy dobrze nie sfotografowałyśmy, ani naszych przygód. Czy w takich dziwnych, szczególnych miejscach to się w ogóle da? One są silniejsze.

D. S.: Jak poszliśmy tam po raz drugi, to fotografowałyśmy wyraźniej lepiej. I spokojniej, z większym dystansem. Z miejscem trzeba się poznać, nie tylko z tekstem.

M. Z.: Właśnie. Za drugim razem weszliśmy normalnie, po bożemu. Znalazłyśmy różne fragmenty, których przedtem odnaleźć się nie udało. I grób Henryki London, i Mirabelkę też. Dotarliśmy również w okolicę pomnika Obrońców Warszawy. Ale to wszystko za drugim razem. Może i dlatego, że pisząc, Białoszewski zrobił w wyobraźni skrót. Przeskoczył z tej alei, którą przyszli — a inną przejść nie mogli, skoro wyszli potem na fabryczkę — w drugą, równoległą, bliżej stróżówki, gdzie są tamte, nie odnalezione przez nas wcześniej groby. Trafiliśmy dopiero wtedy, gdy nie patrzyliśmy w tekst, lecz na plan cmentarza i doszliśmy do zaznaczonego tam pomnika. Jemu z dwóch alei zrobiła się jedna. A więc trochę poprawił jednak rzeczywistość. W końcu nie chodziło mu o opis trasy. Nasza wycieczka dowiodła właściwie, że za jednym razem wszystkiego sfotografować się nie da. Musiałyśmy tam pójść po raz drugi i trzeci, żeby zrobić zdjęcia całości. A przecież *Kirkut* to kilkustronicowy tekścik. I tyle tam trzeba przejść. Nas cmentarz wciągnął i tam zostałyśmy. A ich nie. Mogli iść dalej. Więc nasze przejście było inne, przez samą odrębność doświadczenia, którego przy fotografowaniu wyeliminować się nie dało.

D. S.: Bo jak powiedziała kiedyś prof. Żmigrodzka *à propos* towiańczyków — chcieliśmy złapać epifanię za ogon. Tylko nie jestem pewna czyją, Białoszewskiego czy naszą.